

Europa jest mozaiką ojczyzn

Z Włodzimierzem ODOJEWSKIM rozmawia Lidia Wójcik



Fot. Lidia Wójcik

– Większość pańskich książek poświęcona jest Kresom wschodnim, ich treść odnosi się do czasów wojny i przedwojennych. Czy pan nadal interesuje się Kresami, to znaczy tym obszarem świata, gdzie w ostatnich czasach powstały nowe państwa – Ukraina, Białoruś?

– Interesuję się z przerwami, ale jednak do dziś. Myślę nawet, że znalazłszy się w Monachium, obszar ten śledziłem z jeszcze większą intensywnością. I już nie tyle jego przeszłość (choć także), ile zmieniającą się teraźniejszość. Radio Wolna Europa i jego cały niezmiernie wyspecjalizowany aparat badawczy były w tym przeogromnie pomocne. No, ale także znajomości, które się zawierało. Miałem ich wiele (i mam) z Ukraińcami, Białorusinami, mniej może z Litwinami (ich stosunek do Polaków nawet tam był bardzo oporny), z emigrantami z Podkarpacia i Kaukazu, wśród których od czasów powstania Szamila cieszymy się przecież szczególną sympatią – wielu Polaków walczyło u jego boku z caratem. Losy Ukrainy śledziłem przez rozległe środowisko ukraińskiej emigracji skupionej w Monachium i przez Uniwersytet Ukraiński istniejący w tym mieście. Myślę nawet czasem z odrobiną żalu, że Ukraina dzisiejsza przestąpiła mi Ukrainę przeszłości – i z tego zainteresowania niewiele wynikło: kilkanaście recenzji książkowych, trochę publicystyki polityczno-społecznej, trochę prorocत्व, w których ziszczenie się ciągle wierzę. Ukraińcy – jeżeli nie chcą sami pozbawić się swych korzeni i żeby ich historia nie zaczynała się dopiero w drugiej połowie XIX wieku – muszą uznać, że byli związani z Polską przez kilka wieków, w złym i w dobrym, bo przecież historia nigdy nie jest jednobarwna. Odnalezienie się we wspólnym nurcie historii wpłynie ożywczo na wzajemne stosunki Ukrainy i Polski w najbliższej przyszłości. Bo do zaofiarowania sobie mamy bardzo wiele – jeżeli nie w sferze materialnej na razie, gdyż jesteśmy podobnie biedni, to w sferze duchowej.

– W najświetniejszej książce „Zasypie wszystko, zawieje...” nawiązał pan do zdarzeń katyńskich. Było to w czasach, kiedy o Katyniu nikt w Polsce nie pisał. W ostatnich latach powstało wiele prac (rozmaitej wagi) poświęconych tym sprawom. Pojawiają się niekiedy zarzuty, że pan nazmyślał o Katyniu, choć prawo pisarza do zmyśleń wydaje się oczywiste. Proszę opowiedzieć, skąd w tamtych czasach pochodziła pańska wiedza na temat Katynia?

– Te zarzuty pojawiają się tylko ze strony jednego krytyka, który odkrył Katyń w ostatnich latach, kiedy sprawa była dogłębnie udokumentowana i w końcu cenzuralnie odblokowana. Nie znam innych. Pierwszy raz wspominałem o polskich oficerach pomordowanych w jakimś dalekim lesie w powieści *Wyspa ocalenia*, napisanej w 1950 roku, której wyjątki w formie kilkunastu odcinków precyzyjnie się jeszcze w rok później w radiu i która po śmierci Tadeusza Borowskiego, to znaczy w 1951 roku, dostała nagrodę jego imienia, choć nie została wydana. Ale nieścisłości... – pyta pani. Dziś już nie wiem, czy to, że moja powieściowa rodzina otrzymała zawiadomienie od szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, napisałem dla zmyłki przed cenzurą, czy też zdawało mi się wówczas, że istotnie ta szwajcarska instytucja była w sprawie włączana. Może nawet to drugie, bo przymiotnik „szwajcarski” po 15 latach powtórzyłem w jakimś miejscu w powieści *Zasypie wszystko, zawieje...* Pisałem bez dostępu do dokumentów. Moimi źródłami były (jeszcze w czasie wojny) przekazy rodzinne. Jedna z ciotek straciła w Katyniu męża i pojechała tam, gdyż wydawało jej się, że może przywieźć stamtąd jego zwłoki do rodzinnego grobu. I nadto daleki krewny, ksiądz, w czasie tych strasznych „wykopek” też tam pojechał. Czytałem także jako trzynastolatek „gadzinową” prasę, którą przysyłała mojej matce inna ciotka. Po latach pozostał mi z tego w pamięci mgławicowy obraz. Ale boli mnie sformułowanie, że „nazmyślałem”. Cała literatura jest zmyśleniem. Dla prawdziwości rozdziału katyńskiego w mojej powieści pozostaje bez znaczenia, czy był przy ekszhumacjach lekarz polski jeden, czy dwóch, czy rosły tam na polanie sosny i świerki, czy również dęby, jak napisałem; upierałbym się, że rosły także brzoźki, gdyż pierwsi odkrywcy zwłok, polscy robotnicy, dwie brzoźki ścięli i zrobili z nich krzyż. Wątpię, żeby przydźwigali je z daleka. Nie sądzę również, aby moja pomyłka z setkami tabliczek z numerkami na grobach, aż do dziś nie usunięta przeze mnie z tekstu książki, podważała prawdziwość tego fragmentu. Ten szczegół właśnie zaczerpnąłem z opowieści ciotki. Dziś wiem, że takich tabliczek wetkniętych w ziemię, aby ułatwić znalezienie miejsca pochówku bliskich tym, którzy przybywali z Polski, było zaledwie kilka, może kilkanaście, umieszczonych przez Polaków albo pracujących tam Rosjan, może nawet Niemców. Tabliczek tych w przygotowywanym teraz nowym wydaniu powieści też nie usunąłem. Gdybym zaczął ulegać różnym oszołomskim pretensjom, pewnie doszłoby do tego, że musiałbym się w końcu tłumaczyć z faktu, że w ogóle zabierałem się przed laty do katyńskiego tematu. Ciekawe, że moja powieść *Zasypie wszystko, zawieje...*, która ukazała się we Francji po polsku w 1973 roku, nie wzbudziła żadnych negatywnych zastrzeżeń czy uwag historyków, nawet tak wybitnego znawcy przedmiotu jak profesor Zawodny.

– Ciekawi mnie, skąd pochodziły pańskie informacje na temat barek z oficerami polskimi zatapianych na Morzu Białym. Polscy badacze spraw katyńskich milczą o tym.

– Pochodziły z różnych polskich pamiętników łagiernych – tak nazwałbym ten gatunek, reprezentowany na Zachodzie wieloma książkami, jak i dokumentami zdeponowanymi w polskich bibliotekach, także w naszym archiwum monachijskim RWE. Może ta krążąca wśród łagierników polskich uporczywa legenda miała

swe źródło w jakichś wcześniejszych faktach zatapiania przez sowieckie „służby” wraków statków z więźniami. Pewien dziennikarz rosyjski z Radia Swoboda zwrócił mi kiedyś uwagę na pamiętnik jakiegoś rosyjskiego uciekiniera z Sowietów, gdzie była mowa o zatopieniu w Jeniseju statku załadowanego kułakami z Ukrainy. Może źródłem tej legendy (utrzymującej się w każdym razie jeszcze do niedawna na Zachodzie) był niezwykle sugestywny fragment jednej z powieści pisarza amerykańskiego polskiego pochodzenia, Wacława Kuniczaka. Pisarz ten, mój rocznik, syn bodajże przedwojennego konsula polskiego w Rumunii, wyemigrował stamtąd do Stanów. Jest cenionym autorem anglojęzycznym, liczącym się w Ameryce. Napisał między innymi trylogię (z tymi samymi bohaterami) ukazującą wojenne losy Polaków ze Wschodniej Galicji. Chyba w drugiej części tego cyklu (nie pamiętam niestety tytułów) opisana została śmierć kilkuset starobielszczan na zatapianym statku. Fragment ten w tłumaczeniu ukazał się kiedyś w londyńskich „Wiadomościach”. No cóż, od dwóch czy trzech lat wiemy, że śmierć kilku tysięcy jeńców z obozu starobielskiego nastąpiła w innych okolicznościach. Jestem jednak przekonany, że wstrząsający obraz ich śmierci, nakreślony gdzieś przed trzydziestoma chyba laty przez Kuniczaka, nie stracił nic na znaczeniu. W literaturze bowiem tak już bywa, że nie zawsze prawda jest najbardziej interesująca, czasem bardziej interesujące jest zmyślenie.

– Wątpliwości co do pańskich opisów katyńskich wyrażał przed laty Józef Mackiewicz. W ostatniej pańskiej książce „Raptularz krytyczny” jeden ze szkiców poświęcony jest Mackiewiczowi, nie wspomina pan jednak o tych rozdziewkach w sprawie patrzenia na Katyń. Dlaczego? Czy były one tak naprawdę mało istotne?

– Wątpliwości Józefa Mackiewicza dotyczyły fragmentu książki w jej redakcji przemycanej z kraju na Zachód jeszcze w latach sześćdziesiątych. W 1971/2 roku, w czasie mojego pobytu w Berlinie Zachodnim, kiedy mogłem swobodnie zapoznać się z różnymi opracowaniami tematu, powieść poprawiłem; nie tylko zresztą różne szczegóły dotyczące sowieckiego mordu. Józef Mackiewicz poddał krytyce ów rozdział wydrukowany, jako reklama-mówka mającej się ukazać książki, w miesięczniku „Kultura”, niestety opublikowany przez pomyłkę we wcześniejszej wersji. Mackiewicza poznałem dwa, a może trzy lata później, najpierw telefonicznie, po kilku zaś miesiącach, a może tylko tygodniach, osobiście; piszę o tym w *Raptularzu*... Do naszej wymiany zdań z roku 1973 na łamach „Kultury” paryskiej nigdy nie wracaliśmy, bo po co? On był raptusem, ja pewnie jestem nie mniejszym, obie więc nasze wypowiedzi były dość ostre. Ale przecież temat został wyczerpany, więc po co wracać? To chyba tylko tutaj w kraju wydaje się dziwne. Bo Polak nawet na gruzach swych racji nie przyzna racji przeciwnikowi, będzie z zawziętością bronił gruzów. Długi pobyt na Zachodzie, w krajach demokratycznego kompromisu, wiecznego poszukiwania konsensu, uczy innych postaw. Więc ja przyznałem, co przyznać trzeba było, a on się zgodził z tym i też przyznał, co przyznać trzeba było, uznając sprawę za wyczerpaną. Natomiast do Katynia jako tematu – rzeki powracaliśmy później ustawicznie; może właśnie ten temat tak nas zaprzyjaźnił.

– Pisząc o Mackiewiczu podkreśla pan pewną emigracyjną wspólnotę dwóch pisarzy polskich żyjących w Monachium. Czy dzisiaj łączą pana jakieś zażyłości, przyjaźnie z pisarzami emigracyjnymi, z ludźmi kultury? Jak pan żyje dzisiaj w Monachium, kiedy sens literatury na emigracji właściwie się skończył, kiedy „kończy się” Wolna Europa?

– Większość moich przyjaciół emigracyjnych przeniosła się na drugi świat, ci zaś, którzy jeszcze żyją, mieszkają w innych krajach, na innych kontynentach. Nie tylko ja, ale i ci jeszcze żyjący stają się ludźmi coraz bardziej samotnymi. Tak widocznie musi być. A literatura na emigracji? Nie, nie ma już czegoś takiego, mogą być jedynie książki pisane za granicą. A jeśli chodzi o Wolną Europę... to istotnie jest to kres jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia antykomunistycznego. Ośrodek ludzi żyjących przez dziesięciolecie Polską, jak i całym obszarem Europy od granic Muru Berlińskiego po głęboką Azję. Ludzi niezależnych od układów w ich krajach, wyspecjalizowanych w wielu dziedzinach, zazwyczaj pierwszej klasy dziennikarzy. No cóż, komunizm umarł naturalną śmiercią, ale nie umarły jego obyczaje, trwa ruina, jaką pozostawił. I gospodarcza, i polityczna. Wbrew temu, co się sądzi, prawdziwe demokratyczne życie polityczne jest trudniej odbudować niż gospodarkę. To widać, obserwując u nas działalność chociażby partii. Lewica korzysta ze starych układów organizacyjnych, od centrum zaś do prawicy właściwie nic, jedna awantura. Wracając do sprawy RWE, szkoda tego ośrodka, tego środowiska. Mogło się, jako obserwator i komentator z zewnątrz, przydać swoim krajom. Niestety, dzisiejsza polityka amerykańska zbyt przypomina politykę tego kraju z lat 1943–50 – wielki demontaż. Aby tylko wyborca był zadowolony. A jakie to międzynarodowe skutki za sobą pociągnie, nikt na razie nie pyta. Tak więc stało się to, co się stać musiało.

– *Choć od ćwierć wieku żyje pan poza Polską, posiada pan dużą znajomość polskiej literatury. Bywając w Polsce kupuje pan wszelkie nowości. Jakie zjawiska we współczesnej polskiej literaturze wydają się panu ważne, ciekawe? Czy wiecie, opinie o nich próbuje pan jakoś upowszechniać na Zachodzie?*

– To, co wnosi na rynek księgarski wstępujące dziś pokolenie literackie w Polsce, jest zazwyczaj dalekie od tego, co w literaturze pięknej cenię, a więc dalekie od opisu świata, w jakim żyjemy. Oczywiście kupuję mnóstwo nowości, niewiele jednak z tego wydaje mi się ważne, dobrze zrobione, interesujące. Cóż, może to starość, niemożność zrozumienia innego pokolenia; nie dziwiłbym się, gdyby tak właśnie było. A czy coś polskiego próbuję upowszechniać na Zachodzie? Dziś już nie. Swego czasu pisałem także o literaturze. Do polskiej prasy emigracyjnej, do niemieckiej, do niemieckiego radia. To i owo polecałem i byłem dumny, gdy chwyciło, ale dziś już tym się nie zajmuję.

– *Redagując dział kulturalny w Wolnej Europie, śledził pan od lat wszystko, co działo się w literaturze europejskiej. Jakie style, jakie mody są dzisiaj najbardziej wyraziste, czy docierają one do Polski, są widoczne w polskiej literaturze?*

– Pani mi wybacz, ale znów zasłonię się swym wiekiem. Otóż od pewnego wieku, gdy się nie musi (a RWE już nie istnieje, więc nie muszę), czyta się zwykle jedynie to, co naprawdę bliskie. A więc wraca się niekiedy do lektur młodości, do klasyki bliższej i dalszej, do książek, w których można znaleźć kawałek siebie z przeszłości. I ja to czynię. Nic pani nie da wyliczenie dziesiątek książek, którymi zajmowałem się w ostatnich chociażby latach z racji swojego stanowiska w RWE i miejsca zamieszkania. Drobną ich część jest omówiona w *Raptularzu...*, o innych czytelnik znajdzie moje „to i owo” w drugim tomie, który ukaże się jeszcze być może w tym roku. Jedne z recenzowanych książek ceniłem bardziej, inne mniej, ale jednak ceniłem, skoro pisałem o nich (czy też uważałem za ważne w sensie negatywnym). Choć pewnie nieraz dobieierałem się do nich, w związku z sytuacją, także kluczem politycznym. A dziś, kiedy tamten podział świata się rozpadł i

stajemy przed innymi problemami? Proszę pani, w literaturze Zachodu panuje ogromny chaos. Pomieszały się style, kategorie, rozchwiały pojęcia, obserwujemy zanik różnych wartości. Mówi się dużo o postmodernizmie, tylko że nikt tak naprawdę nie wie, co to znaczy, albo inaczej: w każdym kraju coś innego pod ten termin się podkłada. O tych dziwnych kolażach literackich, które na Zachodzie do tej kategorii się zalicza, często myślę, że zostanie po nich w przyszłości nie więcej niż po głośnym eksperymencie z lat powojennej francuskiej (i nie tylko) prozy zwanym „nową powieścią”, albo i jeszcze mniej. Jakie style są dziś na Zachodzie najbardziej wyraziste? Nie wiem, czy w ogóle można mówić o stylach, raczej chyba o pewnych chwytach, o modach. A więc o modzie na unowocześnioną powiastkę filozoficzną oświeceniowej proveniencji. Na prostaczkę. Na dzikusa. Ale nie dzikusa – jak ten osiemnastowieczny – dobrego, lecz dzikusa złego, zazwyczaj nawet okrutnego. Do rozpowszechnienia tej mody mocno przyczynił się Süskind swoim *Pachnidłem*. Liczni naśladowcy, a znajduję ich i w Polsce, są jednak dużo bardziej radykalni, a bardziej jeszcze perwersyjni. No i trywialni. Powraca się także do takich starych, zdawałoby się, chwyków jak powieść w formie listów. Kombinacje z esejem, pamiętnikiem. Przed kilkoma laty rozkwitła moda na prozę „szkatułkową” – szkatułka w szkatułce, w tej jeszcze jedna szkatułka, tak niemal bez końca. Podsyć tę modę wydany przed czterema bodajże laty we Francji pierwszy pełny tekst *Rękopisu znalezionej w Saragossie* Potockiego. Narzucił też pewną modę na erudycyjną powieść (często na kanwie kryminału) Umberto Eco. A obok tego są stosy literatury niekoniecznie kryminalnej, gdzie krew się leje coraz obfitszymi strumieniami, gdzie szokująca perwersja ściąga się z chorobliwym wynaturzeniem, gdzie autorzy ze skóry wychodzą, aby zadowolić gusta najbardziej ciemnego kulturalnie tłumu. Z nimi właśnie porównywany markiz de Sade to kaszka z mlekiem. Chociażby Stephen King z wyszukanym okrucieństwem swego bohatera Alexisa Maszynny, czy Graham Masterton z wyrafinowanymi zbrodniami i mordcami, reklamowany w rubrykach bestsellerów niektórych polskich gazet. Nie dziwię się, że po takich lekturach (a często książki te mają dublety w formie filmów wideo) dziesięciolatki mordują dwulatka z prostej ciekawości, aby odkryć, jak to jest w rzeczywistości – co nagłośniła niedawno prasa w Anglii, ale co, jak się później okazało, zdarzyło się także w wielu innych krajach, nawet kilkakrotnie w Polsce. Może panią zainteresuje, dlaczego mówię raczej o zjawiskach negatywnych. Otóż dlatego, że od kilku lat czytam głównie po polsku. Do Polski dociera tyle książek z tak zwanego zachodniego świata i są od razu tłumaczone. I tu właśnie pies jest pogrzebany! Co dociera. Otóż największa tandeta zachodnia, literatura żerująca na najniższych instynktach, spaczająca charaktery, odkształcająca wyobraźnię ludzi młodych; literatura o zbrodniach i dla zbrodniaków. Połowa albo i więcej tego, co w pięknych, kolorowych okładkach zalega księgarnie, to właśnie to! Ktoś innego zdania niż ja, entuzjasta nieograniczonej wolności (która jeżeli jest nieograniczona, prowadzi zwykle w stronę nihilizmu) może być może, że to jest cena demokracji. Odpowiem na to, że pewne normy humanistyczne są kategoriami wyższymi niż demokracja. Publiczne wykonywanie na rynkach wyroków śmierci, jako rozrywka dla gawiedzi, też zostało kiedyś wycofane, a publiczne łamanie kołem i inne okrucieństwa, choć w swej widowiskowej formie miały licznych zwolenników, zostały w ogóle zaniechane, doczekały się potępienia.

– *Żyjąc od lat w centrum Europy, jak pan patrzy na dążenia Polaków do europejskości?*

– Jeżeli pyta pani o dążenia do europejskości zachodniej i o organizacyjną formę tych dążeń, to najogólniej z sympatią. Bo

tradycją swoją i mentalnością do Zachodu zawsze należeliśmy i należymy. Tak naprawdę nigdy nas Rosja ani później Sowiety od tego Zachodu nie zdołały oderwać. Chociaż na pewno Wschód pozostawił w nas dotkliwe piętno. A z sympatią dlatego, że nie sądzę, aby Polska straciła na tym gospodarczo. Obserwowałem przystosowywanie się Hiszpanii i Portugalii do Wspólnoty; nie stały się koloniami krajów bardziej rozwiniętych. Natomiast militarnie tylko tam może Polska szukać jakiegoś oparcia przed rosnącymi szybko „nowo-starymi” apetytami dzisiejszej Rosji (bo jeżeli już doszło do tego, że czołowy moskiewski dziennik „Izwestia” przeprowadza sobie korytarz przez nasze województwo białostockie do okręgu kalininградzkiego, co żywo przypomina żądania Hitlera, to chyba coś znaczy!). Z tym że tak bardzo w to militarne oparcie i w Zachód nie wierzyłbym. Nigdy nie powinniśmy przestać uświadamiać młodym ludziom, jakże to oparcie było kruche w 39 roku, a jak przewrotna i w gruncie rzeczy antypolska była w latach późniejszych polityka przywódców amerykańskich i brytyjskich, szczególnie Roosevelta i Churchilla; są to sprawy wciąż zbyt mało, zbyt wycinkowo znane w Polsce. A do tego jeszcze zazwyczaj w kręgach specjalistów. Myślę jednak, że w pani pytaniu o dążenia Polaków do europejskości chodzi przede wszystkim o dziedziny takie jak obywatelstwo, mentalność, kultura, może etyka. Pewnie jeszcze z kilka dodatkowych dziedzin należałoby wymienić, aby sprecyzować na teraz pojęcie europejskości. Bo europejskość ma wiele oblicz. W Polsce panuje na ten temat wielkie pomieszanie pojęć. A bierzemy z Europy Zachodniej, w moim przekonaniu, nie zawsze to, co najlepsze, czasem przeciwnie, to, co najbardziej naskórkowe, płaskie i przemijające. Jest Europa wartości humanistycznych, ideałów, cnót. I jest Europa igrzysk, tandety, w której wolność często oznacza tylko anarchię i nihilizm etyczny, egoizm, obojętność, syte trawienie. Jest wreszcie Europa najgorsza, ta odwracająca się od potrzebujących pomocy, tchórzliwie umywająca ręce, kiedy Hitler zagarniał Czechy, nie chcąc umierać za Gdańsk, dziś nie chcąc umierać za Sarajewo i przez plecy przytakująca półgębkiem Moskwie, że to, co się dzieje w Czeczenii, to wewnętrzna sprawa Rosji. Jest taki *passus* w drugim tomie *Miesiący* Brandysa, który sobie niedawno przypominałem, mówiący, że „w osiemnastym i dziewiętnastym wieku może to nie my, Polska, byliśmy chorym organizmem Europy, może to chora była Zachodnia Europa”. A więc powinniśmy nauczyć się mądrze wybierać, do jakiej Europy chcemy zmierzać.

– W dzisiejszej Polsce bardzo niemodny stał się patriotyzm, to pojęcie było ośmieszane przez ostatnie 50 lat, za patriotyzm szło się do więzienia. Niemodne stało się nawet mówienie o zachowaniu korzeni, o zrobieniu czegoś dobrego dla Polski. Ojczyznę traktuje się jak spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Co pan o tym sądzi z perspektywy emigranta? Jak wyglądają te sprawy na Zachodzie Europy?

– Wydaje mi się, że tylko Niemcy przez dziesięciolecia po wojnie mieli z tym pojęciem kłopoty. Po tym wszystkim, czego byli przyczyną, jest to zrozumiałe. Na jakiś czas pojęcie *Vaterlandu*, ojczyzny schowało się u nich za *Heimatland*, kraj rodzinny, bo to pierwsze pojęcie stało się wstydlive. Inne europejskie kraje nie miały powodu do wstydu; w imię ich ojczyzn nie dopuszczono się zbrodni. Wydaje mi się, że nigdy nie zanikła tam duma narodowa, poczucie więzi z ojczyzną–ziemią, ojczyzną–historią kraju, ojczyzną–językiem. Obserwuję na Zachodzie budzenie się swoistego patriotyzmu lokalnego – myślę nie tylko o rejonach Bretanii, kraju Basków, Andory czy Prowansji na przykład, ale o rejonach, których odrębność, zresztą ograniczona, jest już odległą historią, jak powiedzmy rejon Strasburga, który dumę swej przeszłości (i odrębności) reklamuje dwujęzycznymi informacjami na tabli-

cach przydrożnych, że jedzie się przez „miasto Reichu”. Europa politycznie się jednoczy, a jednocześnie kulturalnie rozprasza. No, może rozprasza to niezbyt odpowiednie słowo, powiedzmy: różnicuje. W Hiszpanii jest kilka odrębnych Hiszpanii, niektóre, jak na przykład Katalonia (choć nie tylko), mają nawet odrębny język i literaturę. A i odrębny patriotyzm. Nie dajmy się zwariować owemu ciężacemu nad nami pięćdziesięcioletniemu patriotyzmowi radzieckiemu, który był szowinizmem Wielkorusów. Mówi pani, że patriotyzm jest niemodny. Jeżeli to tylko moda, to może nastać czas, kiedy będzie znowu modny. Podejrzewam, że owa niemodność wiąże się z ponad czterdziestoletnią tresurą społeczeństwa czasów komunizmu. Modny był patriotyzm tylko „internacjonalny”, przekształcony w jakimś tam okresie w patriotyzm radziecki; inny był jako nacjonalizm tępiony. Ten patriotyzm internacjonalny nieśli jeszcze na bagnietach do Polski w końcu wojny i po wojnie komuniści przedwojenni, którym udało się uniknąć stalinowskiej kuli; nieśli jako swój ideał młodości, często jako nadzieję, kiedy już w „oczyźnie proletariatu” ta moda dawno wygasła. Wcale nie mała część dzisiejszej inteligencji polskiej (jej poprzedniczka, inteligencja przedwojenna została wycięta przez obu okupantów, eksterminowana w obozach, w łagrach) to dzieci i wnuki tamtych komunistów i ich satelitów, z racji pozycji swych rodziców najczęściej świetnie wykształceni, także na zagranicznych uniwersytetach (kiedy to jednocześnie dzieci z klas „bywszych” często do wykształcenia odciętą miały drogę). A więc ta część inteligencji dzisiejszej, z komunistycznym drzewem genealogicznym, nie tylko zwykle blokuje wszelkie działania mające na celu pozbycie się z szafy lewicy polskiej trzymanego tam wciąż trupa własnej przeszłości, który psuje się coraz bardziej i wydziela trujące zapachy (nie dopuszczając do powstania oczyszczonej, uczciwej lewicy), ale tamtą modę, a raczej ideał wyniesiony z domu ojców, owego „internacjonalizmu” zastępuje specyficznie pojętą „europejskością”. Patriotyzm związany z własnym krajem, z jego historią, kulturą, literaturą, bywa pomawiany o nacjonalizm. Propaguje się unifikację, zlanie się z Europą, w imię jakiejś zmistyfikowanej, „multinacjonalnej”, wymieszanej Europy, która jest takąż samą utopią jak tamta marksistowska. Ci polscy „europejczycy” maszerują do Wspólnoty, głosząc hasła upodobnienia, wyrywania historycznych korzeni, krzycząc: precz z martyrologią narodową i specyficznie polskim losem. Dla nich przedstawiony w literaturze los *farmera* z Kalifornii jest bardziej interesujący niż los Boryny, mają dość naszych powstań, klęsk, tragedii. Zapewniają nie tylko o tym, że historia każdego innego europejskiego kraju była równie krwawa i tragicznie urozmaicona, ale i o tym, że nie ma kraju na świecie, którego historia byłaby jednym ciągiem pomyślności. Europa dla nich to jakiś worek z gadżetami i videoklipami. To skażone pojęcie europejskości nie ma nic wspólnego z tym, co pod tym pojęciem rozumie zachodni inteligent. Jego Europa to wielość, wielobarwność. Wspólnota jest jak rząd kramów na rynku, gdzie każdy pokazuje i zachwala swój towar.

– W Polsce od jakiegoś czasu fałszywie przedstawia się mit Europy, straszy się ludzi Europą jako obszarem wymagającym od nas stale tego i owego, sugerując, że Europa nas nie przyjmie, jeśli będziemy trwać w przywiązaniu do naszych tradycji. Czy postrzega pan rzeczywiście jakieś wymagania Europy wobec Polski, jakie one naprawdę są?

– Proszę pani, Europa tak potrzebna jest nam, jak i my jesteśmy potrzebni Europie. Abstrahując od wszelkich aspektów gospodarczych tej sprawy, bo to jest osobny temat–rzeka, wymieńmy chociażby jedną, wcale nie bagatelną przyczynę, mianowicie równowagę sił, potrzebę utrzymania tej równowagi. Jesteśmy potrzebni Europie, aby za bardzo nie zaciążyła nad nią potęga

zjednoczonych Niemiec. My jesteśmy nawet potrzebni zjednoczonym Niemcom. Zdają sobie z tego sprawę niemieccy przywódcy, nie tylko partii rządzących. O tym nie mówi się w Polsce, a w Niemczech tylko półgębkiem, raczej w rozmowach prywatnych. Zachodnia Europa, zwłaszcza Francja, a od wschodu Polska we Wspólnocie mogą trwale zapobiegać przesunięciom niemieckich nastrojów za bardzo na prawo. Wzmocniona Wspólnota otaczająca Niemcy jest najlepszym zabezpieczeniem przed rodzeniem się i rozwijaniem tam nastrojów neofaszystowskich, rewanżystycznych, mocarstwowych. Nie obawiam się: Polska wejdzie do Wspólnoty prawdopodobnie na przełomie tysiąclecia. Pyta pani o wymagania, jakie musimy spełniać, aby organizacyjnie do Europy wejść? Są to wymagania przede wszystkim natury gospodarczej. I znowu, żeby zbyt długo się nad tym nie rozwodzić, wybierzmy jeden tylko aspekt całej sprawy. Powiedzmy rolnictwo, które u nas jest skansenem. Na takich małych działkach jak w Polsce, gdzie indziej w Europie prowadzi się tylko specjalistyczne uprawy: nasiona, zioła, ewentualnie warzywa. Ale mamy także okropnie przestarzałą bankowość, ubezpieczenia, wiele musimy zrobić w ekologii, no... wiele jeszcze dziedzin wymaga radykalnych reform. Trzeba sobie jednak powiedzieć szczerze, że – czy do Wspólnoty wstąpimy, czy nie – te reformy przeprowadzić będziemy i tak musieli, bo wszystko idzie szybko naprzód, zmienia się, unowocześnia, i jeżeli ich nie przeprowadzimy, zepchnięci zostaniemy na pozycję Trzeciego Świata.

– *Ojciec Bocheński w swojej teorii o zabobonach współczesnego świata pisał, że w ostatnich czasach zrodził się taki zabobon, że każdy, kto deklaruje miłość do swojej ojczyzny, do własnych tradycji większą niż do innych krajów, uważany jest za rasistę. Czy ten „zabobon”, rozpowszechniony w Polsce, jest dostrzegalny na Zachodzie? Czy np. Bawarczyka, który kocha swoją Bawarię bardziej niż Hiszpanię, uważa się za szowinistę, niegodnego miana Europejczyka?*

– Zaczniemy od tego, że w Monachium jest zjawiskiem normalnym, jeżeli elegancka kobieta przyjdzie na popołudniowe spotkanie, czy nawet wieczorne przyjęcie, w stroju bawarskim, tyrolskim, szwabskim czy jeszcze jakiegoś innego regionu należącego do Wolnego Państwa Bawarii – bo tak nazywa się oficjalnie Bawaria. Niektóre auta zamiast nalepki D, oznaczającej Niemcy, mają litery

BV, oznaczające Bawarię – jest ich teraz nieco mniej, ale tylko dlatego, że Niemcy są bardzo ruchliwi i owe litery BV kojarzyły się za granicą z jakąś firmą ubezpieczeniową. Niemiec najpierw jest Sasem, Palatyńczykiem, Meklemburczykiem, Prusakiem itd., potem dopiero Niemcem. I zapewniam panią, kocha swój Heimatland, a jeżeli w nim już nie mieszka, zazwyczaj jest do niego przywiązany. Nikt go w związku z tym nie uważa za szowinistę ani za rasistę. Podobnie jest przecież we Włoszech. Na przykład Lombarczyk niewiele ma wspólnego z Sycylińczykiem. Słyszała pani zapewne w zeszłym roku o głoszonych przez pewnych polityków, zwłaszcza Ligi Północnej, hasłach podzielenia Włoch na Północ i Południe. Przywiązanie do tradycji, miłość do swojej ziemi, architektury swoich miast, pamięć losu swego narodu jest szowinizmem tylko dla tych naiwnych naszych (no, tam na Zachodzie też się tacy trafiają) „europejczyków”, co szczęście Europy widzą w ujednoliceniu, melanżu. Niestety, jak widać, każda epoka rodzi ideologów chcących koniecznie uszczęśliwić swymi pomysłami innych, a jeżeli im się inni nie poddają, osteplowują ich jakimś obelżywym epitetem. Szowinizm, rasizm! Kilkakrotnie w różnych swoich felietonach czy szkicach jako przykład do naśladowania stawiałem Żydów z ich stałą pielęgnacją pamięci żydowskiego wielowiekowego losu w diasporze, zwłaszcza zaś martyrologii ostatniej wojny, Holocaustu. Taką samą pamięcią i czcią powinniśmy otaczać swoją przeszłość i swój los, bo naród, który wyrzeka się przeszłości – tego, co go wyróżnia wielkością i małością (do historii należy i małość) od innych – przestaje istnieć.

– *Więc tak naprawdę najważniejszą sprawą jest pielęgnowanie tradycji i odmienności własnej ojczyzny?*

– Otóż – jak o tym już gdzieś obszerniej pisałem – Europa nie pragnie powiększenia o ileś tam milionów etnicznej magmy. Europa jest mozaiką ojczyzn: większych i małych. Składają się na nią różnorodność, odrębność, tradycje narodowe, obyczaje, przeżycia, doświadczenia historyczne. Ta różnorodność nie wykazuje wcale tendencji do zaniku, przeciwnie, rozwija się, wzrasta. Patriotyzm szczebla lokalnego nie przeszkadza patriotyzmowi języka, religii w skali całego kontynentu. Jeden może się karmić drugim.

marzec 1995

Z „WIADOMOŚCI” RODEM

Polska Fundacja Kulturalna w Londynie wydaje obecnie serię pod nazwą „Biblioteka Autorów Emigracyjnych”. Składają się na nią wznowienia utworów znanych pisarzy emigracyjnych. Ukazały się już *Opowiadania poleskie* Franciszka Wysloucha, *Awantury w rodzinie* Mariana Hemara i *Mieszkam w Londynie* Stefani Kossowskiej (I wyd. B. Świdorski, 1964). Ten ostatni tom (omawiany w nr. 3/95 „NKs”) jest wyborem tekstów zamieszczanych w rubryce „Big Ben” w londyńskich „Wiadomościach”, których redakcję Stefania Kossowska objęła w 1973 roku i kontynuowała do 1981, czyli do zamknięcia tygodnika. Od tego momentu włożyła wiele trudu w zabezpieczenie i utrwalenie jego dorobku. Owocem jej wysiłków jest m.in. książka *Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości” 1958–1991* (Londyn 1993), którą opracowała i zredagowała. Obok tych imponujących osiągnięć wypada wymienić jedno mniej może efektowne, ale nie mniej ważne: „Środę Literacką”, która pod redakcją Kossowskiej wkracza właśnie w dziesiąty rok swego istnienia. (Pierwszym redaktorem „Środy...” był Stanisław Baliński, potem przez krótki czas

Janusz Jasieńczyk). „Środa Literacka”, wydawana z pomocą Fundacji Feliksa Laskiego, ukazuje się tylko raz w miesiącu (trzeci tydzień) i zajmuje dwie środkowe strony w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”. Poświęcona jest wyłącznie literaturze, co sprawia, że należy ją zaliczyć do wyjątkowych, w obecnych czasach, zjawisk na emigracji. Jest to pismo różnorodne, bezstronne, otwarte. Teksty nadsyłają autorzy z kraju i oczywiście ci, którzy mieszkają na Zachodzie. Tradycje też są kontynuowane. Poświęcona została im stała rubryka pt. „Z Archiwum”. W ogóle nad „Środą...” unosi się „duch” „Wiadomości”. Pamięć o znakomitym poprzedniku nie wygasa. Jubileuszowy numer z 15 lutego przynosi artykuł Krzysztofa Muszkowskiego o archiwum „Wiadomości”, które zostało przekazane Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jest to dar niezwykle cenny. Ufajmy, że korzystający z jego zasobów badacze wyznaczą w przyszłości należne miejsce skromnej, ale nieugiętej i wiernej „Wiadomościom” „Środzie Literackiej”.

Maja Elżbieta Cybulska

Włodzimierz Odojewski



W najważniejszych książkach Włodzimierza Odojewskiego nietrudno dostrzec fascynację tym obszarem świata, gdzie od wieków nie przysychały polsko-ukraińsko-żydowsko-rosyjskie rany. Wielość kultur, religii, narodów, niestygnące konflikty, nienawiści między nacjami, religiami... – słowem Kresy wschodnie zajmowały pisarza przez długie lata w kolejnych książkach, choć on sam urodził się na kresach zachodnich (w Poznaniu, w 1930 r.).

Powieści Odojewskiego są próbą szukania i „zabezpieczania śladów” niegdysiejszej kresowej cywilizacji, śladów tragicznych zdarzeń z najnowszej historii. Zbieranie odprysków zakazanej historii, ocalanie pamięci nim wszystko zasypie, zawieje, w czasach kiedy w literaturze polskiej prawie nikt tego nie robił, wymagało od pisarza niemałej odwagi. W *Wyspie ocalenia*, powieści wydanej w 1964 r., udało się Odojewskiemu wtopić aluzyjne zdania o zbrodni katyńskiej i jej rzeczywistych sprawcach, w czasie kiedy pióra wielu pisarzy jeszcze nie obeschły po odach do Stalina i Bieruta.

Odwaga jest równie potrzebna twórcy jak talent. Odojewski pozostaje jednym z nielicznych polskich pisarzy nie ubabranych w błocie stalinizmu, choć jego młodzieńcze zbiory nowelistyczne *Upadek Tobiasza* (1955), *Kretowisko* (1956) nie są wolne – o czym pisał Tomasz Burek – od panującego wówczas oficjalnie schematyzmu i banału artystycznego. Ale już w 1958 r. ukazała się krótka powieść miłosna *Białe lato*, w której Odojewski sięgnął po technikę monologu wewnętrznego, w czasie kiedy – jak zauważyli komentatorzy jego twórczości – „sam monolog wewnętrzny był niemal literackim zamachem stanu”. Odojewski – zdaje się – dosyć wcześnie zrozumiał, że najważniejsze to nie bać się niczego, ani w pisaniu, ani w życiu; to może zagwarantować prawdziwą niezależność i prawdziwą wielkość.

W 1971 wyjechał jako stypendysta zachodniobерlińskiej Akademii der Künste do Republiki Federalnej Niemiec – jako czterdziestoletni pisarz ze sporym dorobkiem literackim i radiowym. Wystarczyło mu odwagi, by wybrać niełatwy los emigranta, podjąć współpracę z „wrogą rozgłośnią” w Monachium i paryską „Kulturą”, przez co został skazany na nieobecność i przemilczenie. Przez dwadzieścia lat był w Polsce autorem zakazanym. Od czasu do czasu docierały nieoficjalnie wiadomości o sukcesie powieści *Zasypie wszystko, zawieje...* (Instytut Literacki w Paryżu, 1973). Czasem pośród zagłuszających trzasków można było usłyszeć głos pisarza wygłaszającego w Wolnej Europie własne felietony, recenzje, uwagi o literaturze, kulturze. Dzieło Odojewskiego bowiem to nie tylko powieści, opowiadania, dramaty. Składają się nań także wczesne utwory poetyckie, widowiska telewizyjne, scenariusze słuchowisk radiowych i właśnie publicystyka.

Po dwudziestu pięciu latach przeżytych w Monachium coraz częściej Włodzimierz Odojewski wraca do Polski. W niedawnej rozmowie dla „Nowych Książek” powiedział: „nie sądzę, że jeszcze dziś jestem pisarzem emigracyjnym, jestem tylko pisarzem mieszkającym za granicami kraju. Przecież nawet jeśli uznam, że moje poglądy są całkowicie sprzeczne z poglądami panującymi tu partii, rządu, prezydenta i lichy tam wie kogo jeszcze, to mogę je głosić swobodnie, więc nie ma powodu do emigracji”.

L. W.